ROZMAITOŚCI.

Dnia 21. Maja | Nr 21. | Roku 1842.

NIEZNOŚNY

STRYJASZEK.

Użalcie też się państwo nademną, że mam tak nieznośnego stryjaszka!

Z innych miar nie źleby mi było na świecie. Mam lat 26 — jestem zdrów jak ryba w wodzie, zbudowany jak belwederski Apollo, mówią mi, żem przystojny, że mam twarz znaczącą, czoło wiele obiecujące, oczy żywe, — gniotę laskowe orzechy w dwóch palcach, dosiadam najpłochliwszego konia, San przepływam, skowronki w lot strzélam — biję się na pałasze i na szpady, jak Mari, jestem piérwszy tancérz w okolicy. Drudzy bywają starzy w latach albo starzy przed czasem, chorowici, ułomni, kaléki, albo ociężali i niezręczni. — Bywałem piérwszym w szkole, z każdéj też nauki cokolwiek w głowie zostało, lubię czytać i z rozumnymi ludźmi rozmawiać, i ludzi rozumni ze mną się nie nudzą. Mam wiadomości, osobliwie techniczne, te których gospodarzowi potrzeba. — Umiém się podobać, z każdym się rozmówić, od profesora i damy pałacowéj, do arendarza i chłopa rzecz wystawić należycie i płynnie, za co mnie zowią wymownym. Gram na skrzypcach, a Lipiński przyjmował mnie do swego kwartetu. Spróbowałem napisać parę drobnych kawałków wiérszém i prozą. Nalégano na mnie, abym pisał więcéj. — A są ludzie, co nic nie wiedzą, nic nie pojmą, w niczém sobie rady dać nie mogą. Są też biédacy, którym wszystkich potrzeb brakuje, są zadłużeni po uszy, a ja mam wieś dobrą, bez długu, inwentarz dostatni i piéniądz w kieszeni — a przecież nie ma nieszczęśliwszego człowieka nademnie — bo nikt niéma tak nieznośnego stryjaszka, jak mój stryjaszek.

Lata moje dziecinne, to mi były szczęśliwe lata wolności! Matki nie pamiętam. Ojciec jeźli nie gospodarował, nie krzyczał na ekonoma albo arendarza, nie bawił się z gośćmi, to zawsze miewał wiele do mówienia z panią Potulską i nie lubił, żeby mu przeszkadzać. — Pani Potulska rządziła domem, a żem i ja do sprzętów domowych (nie wiém czy do potrzebnych) należał, więc i ja byłem pod jéj zarządem. Lecz ona zajęta ważniejszémi rzeczami, nie miała czasu mną wiele się trudnić, ale téż za to nie ograniczała w niczém wolności mojéj. Ile zasięgnąć mogę pamięcią, miałem do lat siedmiu niańkę którąm bił i kąsał. Jeźli nie chciała pójść gdzie chciałem, albo zrobić co mi się podobało, wpadałem w złość, siadałem na ziemi, tupałem nogami, krzyczałem na całe gardło, i pótym krzyczał, póki na mojém nie stanęło. Później przyjmowano do mnie guwernerów. Pobyt dłuższy albo krótszy guwernera w domu od tego zależał, jak umiał trafiać w humor pani Potulskiéj, — a taki co trafiać umiał, także miewał coś do mówienia z panią Potulską, ilekroć ojca w domu nie było albo miał gości — a ja nie pilnowany bujałem, bawiłem się, nic się nie ucząc. Nie było figlów i psot, którychbym nie wyrabiał — nie było człowieka, któremubym nie dokuczył. Za to też mnie tak wszyscy nie ciérpieli, że aż miło. Powiadano mi, że będę panem, jam się téż na pana zaprawiał — zbiérałem i mustrowałem chłopców z całéj wsi, jam zawsze był jenerałem i słuchano mnie, bom téż kijami szafował. — Spadłem raz z drzewa, — dwa razy mnie wyciągnięto z wody na pół

żywego, ale to się zapomniało, tamto zgoiło. Innym razem po mustrze, poszliśmy z moimi żołnierzami furażować, nakopaliśmy na najbliższym ogrodzie ziemniaków, nałamali płota, ogień zapalili, i poczęli piéc ziemiaki. Nie uważaliśmy, że to się działo pod szopą, szopa się zajęła, ale ją ugaszono, — moich pomocników obito, bo też to chłopskie były dzieci, — mnie nikt nic nie powiedział. Miałem też już wtedy własnego do usług chłopca, który musiał mnie słuchać i któregom posyłał, łajał i szturkał do woli. Ojca jednego bałem się nieco, bo mnie zfukał, ile razy obaczył, aleśmy téż unikali się wzajemnie. Jeszcze swobodniejszy byłem, kiedy ojciec chorował i nikt prócz pani Potulskiéj do jego pokoju nie wchodził, a guwerner to po lékarzy, to po księdza jeździł — i kiedy po śmierci ojca pani Potulska razem z guwernerem po całych dniach się zbiérała, sprowadzała żydów i im jakieś rzeczy przedawała — resztę spakowawszy, nie wiedzieć gdzie oboje odjechali, jam wtedy był panem. To państwo trwało aż do przyjazdu stryjaszka. Stryjaszek to wcale inny człowiek, jak był mój ojciec — ten skrzywiony był, kwaśny, zawsze tylko gdyrał — nigdy mnie nie wziął na ręce, nigdy nie pogłaskał, nie kochał mnie — i z tém dobrze mi było — a stryjaszek, którego dawniéj nie znałem, na piérwszym wstępie uścisnął mnie ze łzami i zaraz obiecał wziąć z sobą. Mnie odmiana miejsca się podobała, podróż uśmiéchała się do mnie, bom nie przewidywał co mnie czekało.

Już w drodze zapowiedział mi stryjaszek, że będę rano wstawał, zaraz się umywał i ubiérał, pacierz mówił, uczył się, bawił się przy nim i samopas nie chodził. »Obaczymy stryjaszku!« pomyślałem sobie. Otóż stało się nie jak ja, ale jak on przepowiadał! Gdyby stryjaszek był gniewał się, łajał, wybił kiedy, byłbym i ja miał pociechę nie słuchać go, robić mu na złość, być upartym, popędliwym, zuchwałym — ale nie! on miał taki sposób mówienia łagodny, taki uśmiéch na ustach, takie postępowanie uprzejme, żem ja mimowolnie pełnił, co on kazał i nie było sposobu mu się oprzéć. Uśmiéchem, prośbą, wzrokiem, przychylném słowem, prowadził mnie jak ów Balassa narowistego konia. Mnie, szlachcica, panicza, jak konia prowadzić! Sam uczył mnie, a miał jakiś przeklęty sposób uczenia, że bez trudu co powiedział lub pokazał, szło w głowę i w niéj zostawało. Po nauce bawił się ze mną, wymyślał zabawy, robił się dzieckiem dla mnie — kléił mi orły, ładownice, hełmy, sprawił mi kucyka, jeździć pozwalał, ale z sobą, — pozwalał pływać, ale przy sobie, strzélać uczył, ale wychodząc, zawsze proch zamykał. Co raz powiedział, że zrobić trzeba, to musiało być zrobione, choćby się najbardziéj nie chciało, — a co powiedział, że nie można, choćbym najmocniéj się upiérał, płakał, gniewał się, on nie zachmurzywszy nawet czoła milczał, i ja umęczony daremnym oporem, musiałem zachcenia mego zaniechać! Widząc jak próżna z nim się spiérać, późniéj spiérać się przestałem. Tak mnie opanował, żem w obecności jego nie śmiał nic wykroczyć, ale gdy się czasem oddalił, próbowałem z razu moich dawnych sztuczek. Zlałem atramentem suknię — musiałem taką nosić przy gościach, na rzemyki do pałasza pokrajałem buty, chodziłem boso przez całe lato — uderzyłem lokaja, lokaj mi oddał; — poszedłem z płaczem na skargę do stryjaszka, stryjaszek zamiast mnie pożałować i ująć się za mój honor, śmiał się i powiedział: »Jeśli on cię kiedy piérwszy uderzy, ty jemu oddaj.« — Odesłałem kawę, mówiąc, że za cienka. Stryjaszek z udanym gniewem zawołał na szafarkę: »Mój synowiec nie przywykł do złéj kawy, kiedy nie umiész dobréj robić, nie dawaj mu odtąd żadnéj.«

Prawda, żem w domu stryjaszka ustatkował się, że mnie wszyscy polubili i żem w dwóch latach usposobił się do szkoły — ale dwa lata najpiękniejsze stracić, czy to nie szkoda wieczna? Myślałem, że sobie w szkole wynagrodzę. Słyszałem, że studenci biegają po za szkołę, biją żydów, wybijają okna, przedają książki, hałasują po ulicach. Układałem sobie, że będę najsławniejszym lampartem. Nic z tego! Stryjaszek zawiózł mnie do Lwowa i umieścił u profesora, który go sam niegdyś wychował, a ten był kubek w kubek taki sam jak mój stryjaszek i podobnie jak stryjaszek wziął mnie w kluby! Już piérwsze próby bardzo mi się

nie powiodły. Jam nie chciał się uczyć — a on jak usiadł przy mnie, jak zaczął lekcyję mi wykładać, tłumaczyć, powtarzać, tak ja się mimowolnie jéj nauczyłem. Jam zaczął mruczéć, a późniéj burczéć na niego, on się śmiał ze mnie jak z głupca. Musiałem przestać, bo bardzo nie lubię, żeby się ze mnie śmiano. Najgorzéj mnie to bolało, że człowiek, którego tak słuchać musiałem, nawet nie był szlachcicem, ale drugich kilku uczniów jakby na złość tak się pilnie uczyło, tak uważało w szkole, że ja musiałem czynić podobnie, aby mnie nie wyprzedzali we wszystkiém, bo i tego nie lubię.

Rok szkolny po roku mijał jakokolwiek, ale po każdych wakacyjach gdy wracający towarzysze opowiadali figle płatane na wsi, srodze mi żal było, żem się żadnym nie mógł pochwalić. To przykre uczucie wracając kilkakrotnie było powodem, żem nakoniec umyślił przed wakacyjami i egzaminami uciec ze szkoły. Dokąd idę, po co, co przedsięwezmę, o tém nie myślałem, chodziło mi jedynie, aby się wydobyć z pod władzy stryjaszka. I kierunek drogi był mi obojętnym — nie uważałem więc że wychodzę na tę samą rogatkę, przez którą zwykle przyjeżdżałem. Szedłem parę godzin spieszno, nie uważając na zmęczenie, aby nie być dognanym, różne układając projekta, różne rojąc myśli. Zadumany, nie patrzyłem na powozy, które mnie mijały, gdy nagle, jak z obłoków spadły, staje przedemną pojazd stryjaszka. Struchlałem, czasu nie było uciekać. — Myślicie, że w takim razie stryjaszek wpadł w gniew, złajał mnie, albo przynajmniéj badał surowo? Ba, gdyby tak był uczynił! — Witał mnie jakby się nic nie stało, dziękował, żem taki dobry, żem tak daleko wyszedł naprzeciw niego — i wziął do pojazdu, i zawiózł prosto do profesora, a ten tak zbłoconego, jak byłem, zaprowadził natychmiast do szkoły, i na pośmiéwisko całéj klasy wystawił. I premium w tym roku straciłem, i musiałem na drugi rok starać się je odzyskać. — I znowu parę lat po dawnemu minęło, i stryj postępami mojémi w naukach i mojém sprawowaniem się tak był zadowolon, iż idącemu na filozofiję sam oświadczył, że już nie będę miał dozorcy, i że sam powinienem odtąd sobą kiérować. W to mi graj stryjaszku; obaczysz jak ja sobą zakiéruję!

Dostawszy pieniądze na półroczne utrzymanie, nająłem stół i mieszkanie na miesiąc, sukien nie potrzebowałem sprawiać, ale za to nuż jeździć fijakrami, zasiadać na krześle w teatrze, częstować przyjaciół; — przyjaciół nie brakło, żyło się wesoło i szumno. Profesorowie prelegowali. Nie ja chodził ich słuchać. Bliżéj mi było na bilard u Wolfa, jeźli nie zeszli się jeszcze rano przyjaciele i nie zasiedli do zielonego stolika. Dotąd mi na sercu miło, kiedy sobie wspomnę tamte czasy. Ale nie trwały dłużéj nad cztéry tygodnie. Pieniądze się rozeszły — wszystkie lepsze rzeczy były poprzedane. Miałem długi na wszystkie strony. Niczém się nie troszcząc, byłem wesół — śród śmiéchu i dowcipnych przymówek gram w bilard, ktoś mi z tyłu chwyta. To stryjaszek! ściska mnie jak co dobrego. Uważałem tylko, że był smutny — ale nie czynił wyrzutu, o nic nie pytał, nie wiém z kąd się dowiedział komu byłem co winien, ale nic mi nie mówiąc, wszystkie długi popłacił, krawiec przyszedł wziąć miarę na nowe suknie. Jednego dnia wracając po południu do domu, zastałem pokój mój próżny — gdzie reszta rzeczy? Wyniesiona do nowego mieszkania, które stryjaszek najął dla siebie i dla mnie, bo wypuściwszy dobra w dzierżawę, umyślił we Lwowie bawić dwa lata.

I znowu wróciłem pod jego wpływ nieznośny a przeważny — i pod tym wpływem niepojętym dotąd, zacząłem znowu odwiedzać kollegija, uczyć się, prowadzić się należycie. Towarzystwo stryjaszka było i mojém. Nie nudziłem się w niém. Wszystkie potrzeby moje były opatrzone. Nie zapragnąłem czegoby mi stryjaszek zaraz nie dostarczył. Jedno mi dokuczało, żem nigdy pieniędzy do rąk nie dostawał. Z téj strony słabéj umyśliłem stryjaszka ranić. Jednego poranku, gdy się najmniéj tego mógł spodziéwać, przyszedłem mu oświadczyć, że nie będąc już dzieckiem, chcę sam moje intraty pobiérać. Teatralny effekt był dobrze wyrachowany. Musi raz stryjaszek stracić cierpliwość, ostre powiedzieć mi słowa, przynajmniéj wyrzucić niewdzięczność, a ostrzejsza odpowiedź z mojéj strony, przywiedzie

do sporu i poróżnienia. Otóż nie musi! Z niezmienioną twarzą wstał od stolika przy którym piszącego zastałem, dobył klucza, otworzył szafę, i wskazawszy mi jeden oddział półki, wyrzekł: »To są twoje papiéry. Masz lat 18, czas abyś się z niémi zapoznał.« I z tą samą twarzą wrócił znowu do pisania — a ja com przyszedł z nim się kłócić, w kilka chwil u nóg jego leżałem zalany łzami, ze wstydu oczu podnieść nie śmiejąc, bo moje papiéry, to był inwentarz sądowy po śmierci mojego ojca zrobiony, z którego się okazywało więcéj długów, jak majątku — wyroki sądu za któremi dobra zostały przedane, kwity wierzycieli, którym stryjaszek ze swego resztę popłacił.

Wrażenie tego poranka zostało mi na zawsze. Z tak nieznośnie dobrym, tak niepokonanym stryjaszkiem, walczyć już daléj nie było można. Kiedy mnie po skończonéj filozofii do Wiédnia na naukę w instytucie politechnicznym samego wysyłał, i obficie na drogę opatrzył, spodziéwałem się, że nie szczędząc grosza, przynajmniéj przestrog szczędzić nie będzie, że sobie każe dać słowo, iż się do kart znowu nie wezmę, długów nowych nie narobię. Z przestróg możnaby było żartować, wymuszonego stryjowską powagą słowa nie dotrzymać. I téj pociechy mi nie pozwolił. Tak mi zaufał, tém zaufaniem tak związał, żem musiał się pilnować, jak gdyby on sam ciągle patrzył na mnie. Zająłem się w Wiedniu naukami, przywiązałem się do nich, nie było czasu próżnować, i dwa lata zbiegły w pracy i życiu nie nagannem. Przy końcu drugiego roku, nowy wybryk sam się nastręczył. Kupiec, w którego domu mieszkałem, stary gdyra, miał żonę ładną; pokochaliśmy się wzajemnie. Mąż zazdrośny na krok jej nie odstępował, z nim siedziéć musiała w sklepie, z nim chodzić do kościoła, na teatr, do prateru. Widywać się nawet rzadko mogliśmy, i tylko w jego obecności. Jedną miałem wolność dostarczania jéj książek do czytania, na co czasu miała wiele, pędząc dni nieczynne w sklepie — i książki nie podlégały żadnéj cenzurze, bo małżonek nic nie czytał. Wybiérałem same dzieła najnowszéj literatury, co tak igrając, oswajają z występkiem, tak przytłumiają wiarę i sumienie tak podniecają wyobraźnię — a w każdy tomik potrafiłem wetknąć miłosny biłecik. Témi biletami i takiémi książkami, tak wyegzaltowałem egzaltowaną z siebie Amaliję, że gotowa była uciekać ze mną. Co za rozkosz! Gdyby kto inny był na mojém miejscu! ale z moim nieznośnym stryjaszkiem, gdzieżbym ją podział? Jakiém czołem przed nim z nią stanął? Gdy się témi myślami biédzę, odbiéram list, w którym stryjaszek przez słabość nie mogąc pisać, z pomocą obcéj ręki donosił, że chce abym dla wykształcenia się dalszego w technice, po ukończeniu kursu, odbył podróż po znacznéj części Europy. Wiwat! To mi w sam czas projekcik i w sam czas choroba! Nie cukier z buraków ani wyroby żelazne były mi wtedy na myśli — ale za granicę można uwieść moją Amaliję — można z nią kolejami żelaznémi i skorowozami przenosić się z miejsca na miejsce tak często i szybko, że ani ją mąż wyśledzi, ani mój stryjaszek o naszych związkach się dowié, a nim podróż się odbędzie, tymczasem i chory stryjaszek i zgrzybiały małżonek mogą się przenieść do wieczności. Już czas mojego odjazdu się zbliżał, egzamina były zepchnięte, zepchnięte mówię, bo już w końcu tego roku ochota do nauk bardzo była osłabła przy miłości. Wyglądałem tylko piéniędzy na drogę i nie wychodziłem prawie, aby mający je przynieść posłaniec z poczty, w domu mnie zastał. Ktoś puka do drzwi — otwiéram spiesznie. To stryjaszek! Lékarze poradzili mu kąpiele w Baden-Baden i oderwanie się od kłopotów domowych — więc na dwa lata razem ze mną w podróż się wybrał. Żegnajże rozkoszy i nadziejo! bywaj zdrowa miłości! Ten stryjaszek stworzony na to, żeby mi wszędzie i zawsze zawadzać.

Kąpał się stryjaszek w Baden - Baden, ja tymczasem zwidzałem piękne okolice, pieszcząc się wszędzie obrazem Amalii w pamięci wyrytym. Jakby tu błogo, jak słodko było z nią, gdyby nie ten nieznośny stryjaszek! Popłynęliśmy z tamtąd Renem, zwidzili Belgiję i Holandyję, w późniejszéj jesieni pojechali do Paryża. Tu jak w całéj podróży, wodził się stryjaszek ze mną po fabrykach, warsztatach, pracowniach artystów, muzeach biblijotekach, odwidzał nawet

tam kolegija sławniejszych professorów. Bywaliśmy též w izbach prawodawczych, na teatrach, koncertach, w świetnych towarzystwach, ale zawsze razem, zawsze choć nie był ze mną, był w blizkości, był w tém miejscu. Zostawałem pod jego wpływem — pod jego wpływem zbyt zająłem się ważnémi przedmiotami, aby mieć czas na płochości. Czy to do uwierzenia! W 22 latach przepędzić kilka miesięcy w Paryžu, a nie popełnić ani jednéj płochości! Nie wywieźć ani jednéj na całe życie miłéj pamiątki! Wszystkiemu winien stryjaszek. Postrzegłem u jednéj modniarki panienkę, która mnie mocno zajęła, bo mi się zdawała podobną do Amalii. Znalazłem sposobność rozmówienia się z nią. Modniarka nielitościwa zasadzała ją do pracy od rana do późnéj nocy, w niedzielę tylko wolną była. Umówiliśmy się, že ja w niedzielę wyprowadzę stryjaszka do St. Sulpice na nabożeństwo i kazanie — śród kazania zgubię się w ciżbie, i nająwszy konika z nią ruszę na cały dzień na wieś używać rozkoszy. Pełen słodkich nadziei poszedłem spać w sobotę, śniła mi się kochanka i jeszcze mi się śniła, kiedy stryjaszek przyszedł mnie obudzić, prosząc, żebym śpiesznie się zbiérał. Ledwiem czas miał ubrać się i kawę wypić, tak stryjaszek naglił; i wnet wsiedliśmy do czekającego już powozu, i pojechali na cały dzień do Wersalu. W kilka dni potém idąc przez Boulevard, postrzegłem moją kochankę jadącą w tilbury z jakimś dandy angielskim. Jak tym razem, jak w Wiédniu, tak za każdym razem w Paryžu, w Londynie i wszędzie, ilekroć chciałem się wybić na wolność i pohulać, stryjaszek się znalazł na drodze jak nie proszony mój anioł stróž. Tak objechaliśmy wiele krajów — wielem widział, wiele się nauczył, i wróciłem do ojczyzny nie używszy świata.

A tu może go užyję? Oj tak! Stryjaszek jak gdyby nic nie miał pilniejszego, zaraz za powrotem oddał mi wieś piękną w czarującém położeniu, z domem, z ogrodem, zagospodarowaną, zabudowaną, ale jeszcze sposobną do wielu w gospodarstwie ulepszeń, do wielu przemysłowych przedsięwzięć, tak, že niepodobna się do niéj nie przywiązać, a ludzie w niéj tacy dobrzy, pracowici, przychylni, že nie možna o ich los nie dbać. I gospodarstwo samo z siebie mnie bawi.— Jeszcze stryjaszek opatrzył mnie w piękne bydło, w piękny zawód koni — więc tém wszystkiém tak mnie przykuł do wsi, že już dziś mi się nie chce nigdzie odjechać, szukać zabaw, roztrzepania. Owiec jednych nie miałem, i rad byłem, že stryjaszek o tém zapomniał, bo to wiele wymaga pilności, dozoru, i wiele daje zatrudnienia. Až tu w dzień moich imienin przypędzają mi trzódkę owiec prosto od księcia Lichnowskiego. Nie jestže to uwziąć się na moje szczęście? Ludzie jeżdżą, bawią się, próżnują, dokazują, a ja odbiéram jagnięta, myję i strzygę owce. I już inaczéj nie będzie. Już przewiduję, že gospodarstwo stanie się moją namiętnością, moim żywiołem, przewiduję, že ja tu na wsi ożenię się poczciwie i z rozsądkiem, będę z žoną žył statecznie i zgodnie, będę wychowywał i tyranizował dzieci tak jak mnie stryjaszek, i zestarzeję się obywatelem bogatym, pożytecznym, poważanym, to jest prozaikiem, nie bywszy nigdy trzpiotem, hulaką ani próżniakiem, a wszyscy wiedzą, jak piękne do życia poetycznego miałem usposobienie! I to wszystko przez tego nieznośnego stryjaszka, który tak owładnął mój umysł, že ja całe życie w niewoli u niego trzymany, zamiast cobym go miał nienawidzieć, jeszcze go kochać muszę, i mając od niego już w ręku zapis całego majątku, nierozsądnie się tém trapię, že ten stryjaszek starzeje się i coraz bardziéj na siłach upada. Co za nieznośny stryjaszek!

**.

STUDNIA ARTEZYJSKA
W OKOLICY PARYŻA.

Piękny maj, wszyscy podziwiamy świéżość liścia jego, i wszystkich zachwyca rozmaitość kwiatów. Ale któż się zapytał z kąd liść ten, i z kąd te kwiaty? Wszystek nasz rozum, i jakże daleko zaszedł? Życie roślin, życie zwiérząt, życie nasze, wiążemy do powierzchni po któréj chodzimy!

Ziemio! krew twoja, bicie twego serca, ten punkt środkowy, którego poruszeniem cała się poruszasz, jakże nam nieznane, jak mało chęci u ludzi dojść do najwyższéj prawdy, i dociec największéj tajemnicy.

Magnetyzm, elektryka, galwanizm, ciepło, światło, i te wszystkie cuda dynamiczne, którémi

nasza niewiadomość pokrywamy, czy powstały ze siebie i istniały od wieczności, czyli raczéj wywołała je jedna w środku, w sercu ziemi żyjąca siła?....

Urodzajność powierzchni ziemi, a przeto i życie roślin, czy tylko, jak nam nawet piérwszy chemii organicznéj mistrz Justus Liebig powiada, od zewnętrznych, nic wspólnego z ziemią niemających wpływów zależy; czy snadniéj przyjąć, że te zewnętrzne wpływy właśnie są oznaką, a raczéj skutkiem wewnętrznego życia ziemi, z którego każde inne życie powstaje.

Powierzchnia ziemi, pod którą dotąd ludzka wkopała się ręka, niéma jeszcze ziemi właściwego życia, ona jest dopiéro tą cieniutką i obojętną powłoką ciała naszego, którą powierzchnią błonką *(epidermis)*, nazywamy, a pod którą właściwe życie całego organizmu ukryte.

Jeżeli ciało nasze potnieje, a mucha pot nasz pije, jeżeli chuchamy a zamarły płaz do życia przychodzi, jeżeli oddychamy, a naszym oddechem świat roślinny żyje; tę rosę potu, to ciepło chuchania, ten kwas węglany oddechu, płodami wewnętrznego naszego życia nazywamy. Jeżeli się ukolemy, lub którą ze żył arteryjalnych przetniemy, a krew nasza siłą fontanny wytryska; jeżeli do przeciętéj żyły kawałek w poprzék przeciętéj trzciny położymy, a krew na wylot trzcinę przebija, to na ówczas zwykliśmy mawiać, że krew wewnętrzną prężnością organizmu naszego parta, fontanną wybuchać i trzcinę pionowo przebijać musi.

I czyby to samo o ziemi powiedzieć nie można. Czy też przypadkiem powietrze ją otaczające nie jest jéj oddechem, rosa potem, woda krwią; czyby nakoniec nawet obieg soków roślinnych, i to pionowe dźwiganie się roślin, téj wewnętrznéj prężności ziemi, a nie im właściwéj naturze, przypisać można?

Takie zapewne myśli krążyły w głowie sławnego Buffona, który wieszczym duchem się zatapiał w wnętrzności ziemi, i tam przyczyny wszystkich zjawisk szukał.—On to pragnął, aby który z mocarzy europejskich, jak najgłębiéj w ziemię kopać kazał, bo tam mawiał, jest jądro wszystkich tajemnic przyrody.

Paryż spełnił dziś życzenia swojego niezrównanego naturalisty. I nie zawiódł się Buffon. Studnia Grenelli, którą się dotąd najgłębiéj w środek ziemi wkopano, spełniła przepowiednię jego. — Z głębi 1,700 stóp wyrywa się żyła wody dziewięciu cali przecięcia, a dźwigając się w niczém niepohamowanym pędzie, wylatuje przeszło sto stóp nad powierzchnię ziemi, z kąd własnym ciężarem obalona, na powrót ku ziemi się pochyla.

Prawa hydrauliczne uczą nas:



1) Jeżeli rurę śklanną, albo inną, jak nam obok stojąca figura okazuje; w dwa kolana x. *AC. DB.* zegniemy, i otworem *A.* wodę albo inny jaki płyn po linii *xz.* wlejemy, to płyn przelatując szybko kolano *AC.* i spajacz *CD.* dostaje się do kolana *DF*, w którém jeżeli go do wysokości *DB.* przedłużymy, toż samo w linii *xz.* staje.

2) Jeżeli kolano *BD.* po *FD.* skrócimy, to na ówczas płyn nalany w kolanie *AC.* po linije *xz* dąży toż samo podług poprzedniego prawa przez spajacz *CD.* do kolana *DB.*, a że teraz kolano to po *DF.* skróciliśmy, przeto wylatuje płyn nad *F.* wynosi się w powietrze i wyrównywa o ile to pocisk powietrza i jego własna ciężkość dozwala lenii *xz* w punkcie *m*, z kąd pięknym dzwonem na ziemię spada. Na mocy tego prawa utwarzamy zwyczajne wodotryski.

3) Jeżeli w kolano *AC.* lub w spajacz *CD.* albo w te obydwie części rury *ACDB*, piasku lub innéj jakiéj mielizny nasypiemy, to naówczas woda nalana otworem *A.* sączy się powoli piaskiem, a doszedłszy po *F.* nie bije już fontanną, lecz tylko cicho po brzegach rury spływa.

Zastanówmy się czy źródło w Grenelli podług tych samych praw bije. W tym razie musiałoby w pasmie gór Jura albo Wogezów, wielkie jezioro, w którym wody nigdy nie braknie, się znajdywać. Od dna jeziora musiałby w głąb ziemi kanał, podobny do naszego kolana *AC.* spadać, potém położysto jak spajacz *CD.* pod ziemią się ciągnąć, i w końcu musiałby świder, którym studnię Grenelli wiercono, właśnie pionowo na spajacz *CD.* w punkcie *D* trafić.

Ale czy podobna, aby kanał od dna jeziora w głąb ziemi się wpuszczał, i nigdy ziemią się nie zasunął, kiedy z doświadczenia wiémy, że sztuczne nawet, drzewem cémbrowane chodniki w kopalniach z czasem się zasuwają. Czy wolno nam się łudzić myślą, że od Jura albo Wogezów spajacz podziemny aż do Grenelli się ciągnie, kiedy dotąd w żadnych kopalniach na podobne położyste kanały nie natrafiliśmy. Czy nakoniec można przypuścić, aby Mulot, któremu wykonanie tak pięknego dzieła poruczono, szczęśliwym trafem właśnie nad tym położystym kanałem świder w ziemię wetknął.

Wody artezyjskie w Grenelli, nie mają nic wspólnego z powyższémi prawami hydrauliki, one bytują wewnętrznem życiem ziemi, a ich bicie w powietrze jest tętnem uderzeń sercowych.

I słusznie porównaliśmy ziemię z budową ciała naszego, i słusznie szukamy w jéj łonie téj samej prężności, która krew naszą z żył naszych pionem w powietrze wypędza.

Tą samą prężnością swojego ognistego łona wytłacza ziemia, jeżeli jéj powiérzchnię lancetem przetniemy, krew swoję »a krwią jéj, jest woda«, za obręb swéj organizacyi, i krwią tą przeszywa w pionie powietrze. Tą samą prężnością wyparła ziemia olbrzymie góry ze swojego wnętrza, tą samą prężnością wyrzuca wyspy śród cichego morza, tą samą prężnością sypie z wulkanów popioły i lawę, i stawia pośrodku dymów wulkanicznych słupy wód źródłowych, tą samą prężnością wysyła życie roślinne ku słońcu, tą samą nakoniec prężnością, prężą się wszystkie artezyjskie studnie.

Źródłem prężności jest zazwyczaj ciepło, a źródłem ciepła ogień. W środku ziemi musi niczém niewygaszone ognisko istnieć, z kąd ciepło i prężność niepojętą siłą na powierzchnię dążą, i wszystko na przód siebie, albo ze sobą porywają.

I oto podaliśmy główne zarysy nowéj teoryi francuzkiéj o organizacyi ziemi, któréj nieśmiertelny Buffon szukał, a którą codzienne zjawiska w studni z Grenelli coraz bardziéj potwierdzają. — Lat przeszło ośm, jak nieugięty Mulot nad studnią w Grenelli pracuje, a dopiero 27go lutego zeszłego roku dokopał się wody. — Ośm miesięcy sączyła się woda powoli, i dosyć skąpo wychodziła krótką, żelazną rurą na powierzchnię ziemi. — Kiedy Mulot już ostatnią żelazną rurą ściany wierconéj studni wyłożyć zamyślał, i w tym celu jeszcze stóp kilka wiercić kazał, zagrzązł nagle i nad spodziewanie z wielką łatwością świder o kilka stóp w głąb ziemi, i w mgnieniu oka wyleciał z niesłychanym pędem mętny strumień wody, i coraz wznosił się wyżéj. Mulot osadził na prędce nad dawniejszą, krótką rurę czterdzieści stóp wysoką, ale woda biła wyżéj, Mulot przedłużył rurę do 80 stóp, lecz woda jeszcze wyżej biła, i to z taką siłą, że Mulot wnioskuje, jako słup ten do 150 stóp nad powierzchnię ziemi wznosić się będzie.

Woda w Grenelli bije zazwyczaj tętnami, jest dotąd prawie ciągle mętną, a jeżeli się czasami oczyszcza, to wkrótce jeszcze brudniejszą wylatuje, i na ówczas wyrzuca ze sobą różną spaleniznę wulkaniczną.

W pierwszych dniach października p. r. słabniał coraz bardziej strumień artezyjski, słup jego zniżał się coraz to bliżéj do ziemi, i w końcu całkiem ustał. — Mulot chciał téj chwili użyć, i ostatek studni oprawić, i już zapuścił mocną rurę miedzianą, i już ją na dnie osadzał, gdy nagle na dniu 6go października, w wnętrzu ziemi burza zakipiała, i wichrem wulkanu na nowo wodę w powietrze wyniosła, i piaskiem i gliną i czarnym popiołem, wodę zamęciła, i rurę miedzianę na trzaski podarła.

Z kądże to nadzwyczajne tylko w sąsiedztwie Etny, Wezuwijusza i braci Wulkanów widziane zjawisko! Zapewnie nie z jeziora Wogezow ani Jura. Tam w środku ziemi bije ogniste serce, a za każdém jego uderzeniem drga każda kropla wody, każdy pyłek, drga wszystko życie.

Tam w sercu ognistém żyje siła, która promieniem światła i w równym pędzie na cały ziemiokrąg się ciśnie. Tam jest ta siła, która nie tylko w Grenelli, ale na każdym punkcie ziemi, równie w Stambule jak i we Lwowie, rownie na gorach Himalaju jak i w Karpatach nieprzeliczoną ilość studzien artezyjskich wyciśnie. — Tam najwewnętrzniejsze życie!

F. X. Abancourt.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 20. i obejmuje: 1) Jeszcze nieco o uprawie buraków. 2) Opisanie poprawnego mechanizmu młynowego. 3) O karmieniu wieprzów i ztad pochodzących korzyści. (Ciąg dalszy). 4) Wiadomości czasowe.

Ner 10. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Bale w Anglii.. (Dokończenie). 2) Przywłaszczone reputacyje. 3) Myśli. 4) Obrazy sławnych kobiét. 5) Teatr.

W b. m. wyszedł z drukarni Józefa Schnajdera Tom I. pisma poswięconego dziejom, biblijografii, rozprawom i wiadomościom naukowym, pod tytułem: *Biblijoteka naukowego zakładu imienia Ossolińskich* (jako dalszy ciąg *Czasopisma naukowego* wydawanego przez tenże zaklad); obejmuje on: 1) Wstęp do nowego *Czasopisma* przez A. K. 2) Rozdział XII. o Zygmuncie I. królu polskim, z dawnego rękopisma Andrzeja Lubienieckiego: Poloneutichia. 3) Gotfryd Lengnich, z rękopisma Józefa Max. hr. Ossolińskiego. 4) Wiadomość o Ormianach w Polszcze przez X. Z. 5) Początkowe dzieje Polski, przez Augusta Bielowskiego. 6) Rozprawa I. o języku polskim i o jego gramatykach, przez Jana Nep. Deszkiewicza. 7) Zdanie sprawy z czynności zakładu naukowego imienia Ossolińskich, czytane na uroczystém posiedzeniu 12go października 1840 przez Adama Kłodzińskiego, dyrektora zakładu. 8) Rozmaitości literackie: *a*) Zbiór mineralogiczny zakładu imienia Ossolińskich, przez A. K. *b*) Pieniążki miedziane Władysława księcia Opolskiego (z ryciną), przez A. K. *c*) Kilka słów o niektórych nowszych dziełach polskich, przez Aug. Bielowskiego. *d*) Mieszaniny Bejły, przez A. K. *e*) Stanisław Jaszowski, wspomnienie pozgonne, przez A. K.

Z Warszawy: Autor artykułu o pismach Fr. Morawskiego Wł. W., wyda wkrótce dzieło estetyczne *Przeglądu powszechnego arcy-tworow poezyi świata i narodów, od czasów króla Dawida aż do czasów Mickiewicza.*

Z Wilna: Temi czasy wyszły z druku: 1) Wilno od początków jego do r. 1750, przez Kraszewskiego, 4 Tomy in 8vo z 115 arkuszy druku z 20 rycinami i dwoma planami z 1560 i 1848 miasta Wilna. 2) Obraz z życia i podróży. Tom I., przez Kraszewskiego. 3) Ostatni upior w Bielehradzie, przez Johna of Dycalp. 4) Chaos, nowe pomnożone wydanie w dwójnasób, przez tegoż. 5) Pisma Edwarda Morjona (Gallego) 3 Tomy, (Tom I. Proza. Tom II. Poezyje. Tom III. Torquato Tasso). 6) Obraz biblijograficzno-historyczny Tom II. 7) Wędrówka po małych drogach, czyli szkice obyczajowe na Białéj-Rusi, dwa Tomy p. Bujnickiego. 8) Rolnictwo mędrca Alpejskiego, przez Biesiekierskiego.

W Paryżu zeszedł z tego świata pan Bouilly, autor wielu utworów dramatycznych, jako to: *Abbé de l'Epée; Fanchon; Hrabia Armand* i wielu innych.

Do dziejów cukru. Podczas gdy we Francyi roku 1841, spożyto przeszło dwieście milijonów funtów cukru, był tamże przed dwiestą pięćdziesiąt laty za panowania Henryka IV., cukier tak rzadki, że go tylko na łuty w aptékach kupowano. Jeszcze w roku 1700 w całej Francyi ledwie dwa milijony funtów cukru spotrzebowano. Podług obliczenia spożywa teraz na wyspach antylskich jedna osoba rok rocznie w przecięciu 100, w Anglii 16, w Szwajcaryi, Włoszech i Belgii 8 do 10, w Francyi 6 do 8, a w Rossyi zaledwie jeden funt cukru.

Pomnik księcia Poniatowskiego. Z Lipska pod dniem 8. kwietnia donoszą: Nie znajduje tu wiary podana przez królewiecką gazetę wiadomość: iż zrobiony przez Torwaldsena posąg księcia Józefa Poniatowskiego, który po stoczeniu bitwy pod Lipskiem podczas odwrotu Francuzów utonął w nurtach Elstery, albo z Warszawy do Rossyi zawieziony, albo też w samej Warszawie zniszczonym będzie.

Ludożercy. U Bataków, jednego plemienia ludu na wyspie Sumatra, usankcyjonowane jest pożeranie ludzi nawet ustawą krajowa. Pożerają tam: 1) Cudzołożników. Z tąd też niewiasty Bataków są bardzo powściągliwe, a nawet takiémi być muszą, gdyż tam bardzo trudno o zwodziciela. 2) Zdrajców kraju i szpiegów. 3) Złodziei, którzy niepoprawiwszy się, powtórnie kradzież popełnili. Przywiązawszy takiego złoczyńcę do pala, odrzyna sobie z niego każdy z obecnych kawał ciała i przypieka nad ogniem, podczas gdy złoczyńca z utraty krwi powoli ginie, a nikomu nie wpadnie na myśl, aby go dobił, dla skrócenia męki. 4) Zabranych w niewolą nieprzyjaciół. Ludzi tych, jeżeli nie schwytano w otwartéj walce, lecz tylko w podróży albo na polu, nie pożerają żywcem, lecz wprzódy gardło im podrzynają. Rzecz osobliwsza, iż zwierzęcy ten zwyczaj panuje dotychczas między ludem, który obok takiego okrucieństwa ma niektóre dobre zwyczaje, swój własny alfabet, i między którym sztuka czytania i pisania jest upowszechniona.

Prima aprilis. Obadwaj radcy państwa Regnault de St. Jean d'Angely i Carion de Nisas, otrzymali dnia 1go kwietnia 1805 r. ministeryjalny list — podrobiony z wezwaniem, aby jak najspieszniéj stawili się w Fontainebleau przed Napoleonem, który z tamtąd w podróż do Włoch udać się zamyślił. Regnault był na wsi; gdy przybył umyślny z listem, najął niezwłocznie konie pocztowe i pognał do Fontainebleau dla otrzymania rozkazów Napoleona, który się go — bynajmniéj nie spodziewał. Regnault uraził się do żywego, że mu taką psotę wypłatano, i używał wszelkich sposobów dla wyśledzenia sprawcy, jednakże wszelkie poszukiwania były nadaremne. Lepiéj postąpił sobie Carion de Nisas, który spostrzegłszy, że był celem żartu, rzekł do Napoleona: »Nie użalam się, że mnie na *prima aprilis* zwiedziono, gdyż przez to mam sposobność okazania Waszej cesarskiéj Mości nawet w niezwyczajnym czasie mojego uszanowania.«

Rzadkie zdarzenie. Wdowa po gubernatorze Starke, wyjechała wkrótce po śmierci swego męża z córką i siostrzenicą do Nizzy, dla spędzenia tam zimy. W kilka dni po przybyciu tamże, śni się jéj córce, że się ojciec do niéj zbliża, odsłania firankę, usiada na łóżku, i napomniawszy, aby się nie lękała, mówi te słowa: »W przyszły czwartek przybędzie pocztą pakiet do twojéj matki; pójdźże na pocztę, i każ go sobie wydać; zdejm pierwszą kopertę, obwiń pakiet w inny papiér, zaadresuj i odeszléj go do adwokata N*** w Londynie.« To rzekłszy, zniknął duch ojca. Miss Starke ogarnął przestrach niewymowny. Zaraz na dzień przy śniadaniu spostrzegła kuzyna jéj pomięszanie, i starała się ją uspokoić. Ale gdy się przekonała, że wypadek ten zbyt mocne sprawił na niéj wrażenie, rzekła: »Więc w przyszły czwartek pójdziemy na pocztę, a przekonasz się sama, że twój sen był czczém marzeniem.« Jakoż gdy ten dzień nadszedł, poszły obiedwie dziewczyny na pocztę, i zastały już pakiet; o pół godziny później, byłby się już do rąk pani Starke dostał. Miss Starke nie zaniedbała postąpić sobie natychmiast, jak jéj duch ojca owéj nocy rozkazał; rozpieczętowała pakiet, i obwinąwszy go w inny papiér, posłała do adwokata w Londynie. W kilka dni otrzymała pocztą list od tegoż adwokata, który z powodu przezorności, jaką okazała w przesłaniu mu papiérów, szczęścia jéj życzył, bo gdyby matka podpisała była ważne te papiery, które do niéj posłano, byłaby całą familiję do upadku przywiodła. *(Sporting Reviev.)*

Żal za tem, czego już nié ma. Nad dawnémi rzeczami, które wychodzą z mody, jedno z pism paryskich ubolewa w sposób następujący: »Zniknęło mnóstwo rzeczy, które niegdy do uszczęśliwienia człowieka należały. Między najważniejszémi straciliśmy ducha, tegoto ducha, który konwersacyję ożywiał, dramatyczne przedstawienia umilał, znakomitym mężom tak w pracowni jak i za domem towarzyszył, słowem, który publicznemu pożyciu, teatrowi i sprawom przewodniczył. W miejsce tego, uzyskaliśmy coś, co do tego ducha w takim jest stosunku, jak karykatura do malarstwa, jak piękna poezyja do pospolitej baśni, jak urocza, boska sztuka do niezgrabnego małpowania natury. Literatura przeszła w dziennikarstwo, dramatyka w kuglarstwo, muzyka w popis tonów piekielnych; a my jako reprezentanci wieku oświeconego, podziwiając to wszystko, mniemamy, żeśmy stanęli na szczycie najwyższego udoskonalenia! Niegdyś było wino szlachetnym napojem, budowano dlań spaniałe piwnice, szczycono się jego wiekiem i rodowitością, stawiano je w uroczystych chwilach życia, jako godło wesela, przyjaźni, gościnności i zgody. Teraz miejsce jego zastępuje — woda, i wszystko też odbywa się wodnisto, słowem, nić masz teraz prawdziwych przyjemności, wszystko jest nie szczére i fałszowane. Nikt już nie nosi prawdziwego sukna, bo go nigdzie kupić nie można. Każdy postrzega z żalem, jak na nim pełznie suknia, w któréj najmniéj czwarta część bawełny się ukrywa. Bawełna jest uosobistnieniem naszego wieku, ona jest obrazem, piększydłem, pokostem wszystkich artykułów, i pod tym względem możnaby twierdzić, że my w samej tylko bawełnie żyjemy. Bawełna wciska się wszędzie, nawet w szarpiję; bawełna wchodzi w sukno i płótno. Nié ma już płótna, jakiém nasi przodkowie się chlubili; zamiast blechowania go pod gołem niebem, na łąkach i rosie przez tygodni kilka, aby było mocne, bielimy je teraz chlorem i wapnem w przeciągu dwudziestu czterech godzin. Z tego wynika, że teraz dobrego papieru nie mamy, gdyż uzyskana ze szmat powiększéj części bawełną przepełniona materyja, podobnież wapnem jest blechowana. Chlubimy się za naszych czasów, że mamy listy pisane własną ręką Henryka IV. i bardzo słusznie! Ale cóż powiemy, gdy za lat dziesięć wszystkie archiwa teraźniejszych ministeryjów w proch się obrócą? Papiér teraźniejszy jest tylko chwilowo trwały, kruszy się i w kawałki rozpada. Nakoniec przestaliśmy już nawet robić z jarzącego wosku świece; gdyż się zniżył wosk do mesaliansu z łojem; aby zaś ta mieszanina jakkolwiek dla naszego ucha miło brzmiała, więc ją po modnemu *cérogene* nazywamy. Zważywszy to wszystko, mamyż pochwalać wynalazki nowoczesne? Przeciwnie, nowe wynalazki pozbawiły nas tego wszystkiego, co przedtém dobre i trwałe było!

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.